

roczna berlińska w zwykłej porze także została otwarta i ma zawierać wiele obrazów znakomitej wartości. Znajdują się na niej i nasze „Świeczniki chrześcijaństwa” Siemiradzkiego. Chwała bardzo historyczny portret królowej Ludwiki pruskiej, przez Richtera. Knaus wystawił znanego z Paryża tandeciarza, który młodemu potomkowi swemu daje nauki, aredydzielo naturalności i charakterystyki. Menzla „Wieczera po balu” poszła do Monachium. Mówią, że w dopuszczaniu na wystawę komitet miał być nadzwyczaj surowym, i wołał się ograniczyć liczbą mniejszą (osiemset kilkadziesiąt dzieł), niż przyjął niemające artystycznej wartości.

Inne wystawy doroczne, jak tutejsza dreźnieńska, są nadzwyczaj ubogie i smutne czynią wrażenie. Jakiś czas cieszyliśmy się tu Makarta fantastycznym wjazdem Karola V, ale i ten już zniknął. Z powodu wystawienia go w Kunstvereinie, sprzedający ryciny próbowali w oknach wywieszać fotografie. Zabroniono je pokazywać; obraz oglądali wszyscy, ale reprodukcje zniknęły.

Dla zapełnienia braku, który daje czuć tegoroczną wystawę, urządzono nam Rafaelowską, o którejbym wołał nie mówić. Skład rycin wyciągnął na nią z szufladek wszystkie szytechy, litografie i fotografie z Rafaelów, dołączono kilka liechych kopii i złożyło się na rzecz tak dziwacznie nierówną, tak w pewnych częściach składowych karykaturalną, że nam okrutnie żal wielkiego mistrza, w świetle fałszywnie stawiającego się oczom profanów.

Przegląd piśmienniczy,

przez L. S. W.

(Dokończenie.)

VIII. Z CIASNEJ SFERY, powieść podług podań i papierów rodzinnych. Napisała Malwina Meyersonowa. Przedruk z Izraelity. Warszawa, 1878 r.

Ciasna sfera—jest to sfera życia żydowskiego, owianego duchem ścisłej ortodoksji talmudycznej, przenikającej we wszystkie objawy życiowe, regulującej wszystkie nietylko czyny, ale nawet słowa i myśli prawowiernych Żydów. Ztąd ścisła wyłączenie i odrębność świata żydowskiego, stanowiącego spójną w sobie całość, obojętną na koleje i wypadki innych narodów i krajów, których Izrael jest tylko czasowym gościem. Zaiste, inaczej być nie może: naród, uważający się zawsze za wybrany od Boga, za będący w posiadaniu jedynej prawdy objawionej, przechowujący troskliwie tradycje wieków, wraz z drobiazgowymi i fanatycznymi uzupełnieniami talmudu, naród niezachwianie wierzący w przyjście Mesjasza, który podźwignie królestwo izraelskie i da Żydom panowanie nad światem—czy może taki naród złąć się z innymi? W duchu religii Mojżeszowej, Żydzi prawowierni chcą tylko przywrócenia dawnego królestwa żydowskiego i wierzą, że to Meszasz skutecznie. Z konieczności więc muszą być obojętni na wszelkie nowsze idee i postępowe ulepszenia, wciąż wieków zdobyte—na wszystko, czego w zakonie niema—a ci, którzy wyrzekają się owego ideału żydowskiego, przestają być Żydami.

Wypowiedziałem tu tych kilka uwag, z powodu że piszący o rozwiązaniu „kwestji żydowskiej,” lub ludzący się że to rozwiązanie nastąpiło, czy wkrótce nastąpi, mało zwracają uwagi na tę stronę kwestji, dość, jak mniemam, ważną. Oprócz tego powieść p. Meyersonowej nie zawiera wprawdzie wypowiedzianych wyraźnie jej myśli, ale niewątpliwie w czytelniku je obudza.

Spieszę dodać, że autorka powieści nie obraża w niczem bezpośrednio ortodoksji żydowskiej, a jednak pragnęłaby rozszerzenia owj „ciasnej sfery”—wypowiada piękne słowa o wspólności interesów dla obywateli jednego kraju, o wzajemnej miłości, o potrzebie pracy, dla dobra kraju rodzinnego.

Jaką drogą, nie tykając ortodoksji żydowskiej, można ją z ciasnej sfery pełnąć na szerszą—autorka nie wykazuje; nie żądamy nawet od niej tego, gdyż trudno dziś o aredydziela genialne, a takim byłby utwór p. Meyersonowej, gdyby podawał skuteczne środki rozstrzygnięcia trudnej tej kwestji, nielatwiejszej od kwadratury koła.

U autorki z „ciasnej sfery” wychodzi niby na szerszą Elias, który wyrwawszy się z pod przemocy ortodoksyjnego teścia, pragnącego uczynić zeń rabina, naprzód używa życia, a następnie wchodzi na drogę praktyczną, jako legionista, walczący, podobnie jak wielu innych, za obcą sprawę Napoleona. W krótkiej spowiedzi Eliasza jest wzmianka o obudzeniu się w nim uczuć obywatelskich; ale myślący czytelnik pragnąłby czegoś więcej: chcielibyśmy mianowicie poznać cały przebieg rewolucji umysłowej i psychicznej, która z Żyda uczyniła obywatela, chcielibyśmy dowiedzieć się, jakim metamorfozom podlegała w czasie tego procesu ortodoksja Eliasza i jak ostatecznie wyglądała w stosunku do uczuć jego obywatelskich.

Tego wszystkiego najbardziej bylibyśmy ciekawi, ale tego właśnie nie znajdujemy u autorki. Widziemy tu tylko w Eliaszu z początku trochę wątplenia, trochę niechęci przeciwko uciśkowi ortodoksji, ale nie wiemy do jakich ostatecznie doszedł przekonań i ideałów. We wzmiankowanej spowiedzi Eliasza powiada on, że nauczył się „sądzić rzeczy z wyższego stanowiska,” ale cały ów „sąd wyższy” ogranicza się do sentencji, że „nienawidzę i pogarda rodzą zżubny egoizm i zabijają moralnie,” że „miłość i szacunek są konieczne” i że „kto nie był szanowanym ni kochanym, ten też nikogo uszanować ani ukochać nie potrafi.” Piękne to zasady i prawdziwe, ale w danym razie są to tylko komunały, nie więcej. Ostatecznie w Eliaszu daje nam autorka coś, ale daje za mało.

Z drugiej strony postać Akiwy świadczy nawet, że wylamywanie się z pod ciasnej ortodoksji żydowskiej i jej wszechpotężnego kierunku, do dobrego nie prowadzi. Tu autorka sama piętnuje zamiarem przekleństwa owego Akiwy, niedziera o potężnej inteligencji, chciwego wiedzy, który dużo myślał i dużo czytał. Człowiek ten ginie marnie, niczego nie dopiąwszy i niczego nie zbadawszy, odepchnięty i pogardzony przez wszystkich. Jeżeli taki los spotyka go za to, że nie potrafił wydobyc się z manowców niewiary i wątplenia, do których nieodmiennie prawie dochodzi każdy umysł badawczy,—to było właśnie zadaniem autorki wytknąć mu drogę należyta; ponieważ zaś to nie nastąpiło, czytelnik musi przypuścić, że Akiwa ginie zato, że usiłował wydobyc się z „ciasnej sfery,” co zostaje w dziwniej sprzeczności z założeniem autorki.

Tacy są w powieści pani M. przedstawiciele emancypowanych Żydów. Zobaczymy teraz, jak wygląda drugi obraz—„ciasna”, ortodoksyjna sfera.

Wybitnym i zupełnym przedstawicielem tej sfery jest reb Lejb. Autorka wystawia go nam jako nowego Hioba, tracącego z kolei dzieci, żonę, dobre imię i majątek, a jednak nieszemrzącego jak Hioh, niezłomnego w nieszczęściu i nieodstępującego ani na włos od biblijno-talmudowej ortodoksji. Lejb przedewszystkiem jest Żydem, a potem już człowiekiem i obywatelem. Nawet uczucia czysto ludzkie i powszechne, u wszystkich ludzi najświętsze, jak uczucia rodzinne, zależą u niego od widoków religijnych i muszą przed nim ustąpić. Lejb dowiódł tego w dwóch wypadkach: naprzód kazał córce wzięć rozwód z zięciem dlatego tylko, że zięć nie chciał być rabinem, wbrew woli teścia, który dawno już uczynił ślub, że przyszy zięć jego będzie rabinem i wraz z żoną mocno wierzył, iż od wykonania tego ślubu zależy życie ich córki. Przesądna ta wiara i ślepy ślub, bez względu nawet na niewiadomą jeszcze osobistość, która ma być ślubu ofiarą, wybitnie charakteryzuje wszechwładny wpływ ortodoksji talmudycznej na stosunki życiowe i rodzinne. Nieubłagany Lejb przyprowadza do skutku rozwód, bez względu na to, że dzieci się kochają i że córka jego wkrótce z tego

powodu umiera. Drugi wypadek podobny zdarza się już przy końcu życia złamanego niedolą, ale w ortodoksji nieugiętego Lejba: odmawia on stanowczo ręki wnuczki ukochanemu przez nią człowiekowi, swemu dobroczyńcy, dlatego, że ortodoksja żydowska tego człowieka jest wątpliwą. Lejb wołałby nawet chrześcijanina, niż „złego Żyda.” Gdy jednak widzi, że tym razem opór jego byłby daremnym, cieszy się iż wkrótce umrze i nie będzie patrzył na „grzeczne szczęście córki.”

Autorka skróśliła całe te dzieje bardzo zajmująco, dosadnie i z nieklamną prawdą życiową. Co się tyczy przewagi Żyda nad obywatelem, mniej tu jeszcze było do powiedzenia, z powodu że obywatela kraju w bogatym Lejbie nie widzimy. Autorka wystawiła nam bowiem świat żydowski odrębnym, zamkniętym w sobie. Czasy, w których odegrywały się wypadki powieści (1790—1815), brzemienne tak ważnymi wydarzeniami dla kraju i Europy, nie pobudziły Krezusa żydowskiego do żadnej działalności poza obrębem własnych interesów kupieckich. Przewaga Napoleona i system kontynentalny obchodzą Lejba tylko ze względu na jego zboże, dla którego też przenosi się do Gdańska. Dzieje dwukrotnego obleżenia tego miasta opisane są przez autorkę wybitnie i z całą tragicznością. Tu stary Lejb z wnuczką odznaczali się czynami młodszyńca, ale to i wszystko. Nawet stosunek Lejba do spółobywateli chrześcijan ogranicza się stosunkiem z Borzęckimi, których szkatułę ze złotem Lejb przechowuje z idealną wiernością i uczciwością, nie tykając jej nawet w nędzy i poszukując prawego właściciela, który nakoniec opłaca tę wierność połową zawartych w szkatule dukatów. Ostatni ten rys—wierne przechowanie cudzej własności—jest bodaj najsympatyczniejszym, a może nawet jedyne sympatycznym w charakterze i działalności Lejba, chociaż autorka nieraz maluje go, jako czeigodnego patriarchę. Zresztą samo owo idealne, sławione przez autorkę bohaterstwo, jest tylko prostym obowiązkiem każdego człowieka uczciwego. Mamy także zarysy gościnności i dobroczynności bogatego kupca; ale to tylko względem współwyznawców—rzecz zgodna z prawdą, na jaką codzień patrzymy, wynik ścisłej zaczepno-odpornej solidarności i wyłączności żydowskiej.

Takim jest dziwnie żywo odmalowany wizerunek przedstawiciela ortodoksji żydowskiej. Pomijamy postacie podrzędniejsze. O typach kobiecych niema co mówić, wobec uposiedzenia kobiety u Żydów. Nawet owa Speranza, wnuczka Lejba, przedstawiona przez autorkę jako istota wyższa, pomimo niezaprzeczonych zalet, jest typem niewykończonym, niewyroblonym. Autorka wspomina nieraz o religijności i pobożności kobiet izraelskich, ale co się tyczy panien, dziwną jest rzeczą, z kąd może się wzięć i utrwalić owa religijność, skoro panny u Żydów, jak gdyby ludźmi nie były, są wyłączone od obrzędów religijnych i niewolno im nawet bywać w synagodze na nabożeństwie.

Z tém wszystkiém powieść pani Meyersonowej jest zjawiskiem uwagi godnem: warto ją przeczytać i nad nią się zastanowić. Jest to powieść tendencyjna, a choć kwestji nie rozwiązuje, tendencyja jest dobra. Co do nas, przeczytanie tego utworu wzmocniło w nas przekonanie o wszechwładnym i przygniatającym wpływie ortodoksji biblijno-talmudycznej na całą istotę Izraelity i na całe jego życie praktyczne, a także przekonanie o tém, że „ciasna sfera” nie tak łatwo i nieprędko, niestety, zdoła się rozszerzyć w kierunku humanitarnym i w myśl postępu nowoczesnego.

Wystawa w Szawlach.

Przed laty kilku obywatele gubernii kowieńskiej, zachęceni przykładem wystawy rolniczo-przemysłowej, jaka się odbyła w Warszawie w r. 1874, powzięli zamiar urządzania stałych wystaw w mieście Szawlach. Głównymi promotorami w tej sprawie byli hr. Mikołaj Zubow i p. Michał

Podbereski, którzy też w październiku r. 1874 wyjednali odpowiednie zezwolenie ministerium dóbr państwa i natychmiast wzięli się do urzeczywistnienia pięknego swego pomysłu. Na dzień 15 lipca roku następnego zaproszono licznych obywateli gubernii kowieńskiej na naradę i wybrano pierwszy komitet, poczem, po upływie sześciu tygodni, otwarto pierwszą wystawę rolniczo-przemysłową prowincjonalną, która odtąd ma się powtarzać co trzy lata, zawsze w miesiącu wrześniu.

Po tej wystawie nastąpiła druga w r. 1876, trzecia w r. 1879, a terazniejsza była ze wszystkich w okazy najobfitsza, co pozwala wróżyć, że z czasem te wystawy szawelskie pozyskają sobie stałe powodzenie i znaczenie pierwszorzędne, wobec interesów rolniczo-przemysłowych prowincji.

Miasto Szawle, powiatowe, leży na trakcie, wiodącym z Warszawy do Mitawy, o dwadzieścia kilka mil od Wilna, w gubernii kowieńskiej, na ziemi żmujdzkiej. Czyste i wesołe, dosyć porządnie zabudowane, posiada ładny kościół parafialny i około 16,000 mieszkańców.

Wystawy rolniczo-przemysłowe pomieszczone bywają przy szosie do Mitawy, tuż za miastem, w zabudowaniach koszarowych i na placu dosyć obszernym; potrzebne na ten cel budynki, których na miejscu nie było, wzniesiono umyślnie. Do wystawy prowadziły dwie bramy z dwóch stron, a mianowicie od szosy i od miasta, przybrane we flagi i herby powiatu.

Wystawa dzieliła się na pięć oddziałów następujących:

I. Zwierzęta domowe, wyhodowane przez wystawców, bydło rasowe zagraniczne, konie, owce, trzoda chłевна, drób. Do tego oddziału zaliczono i pszczelnictwo z rybołówstwem.

II. Nasiona i rośliny zbożowe; rośliny pastewne, okopowe, olejne i handlowe, owoce, drzewa owocowe, nasiona owoców i drzew.

III. Przemysł rolniczy, w trzech działach przedstawiony, a mianowicie: a) produktu surowe, b) zwierzęce, c) rolnicze i kopalniane.

IV. Maszyny i narzędzia rolnicze, modele i plany budowli gospodarskich.

V. Rachunkowość gospodarzo-rolniczą.

Wedle bardzo rozumnego postanowienia komitetu, przy wszystkich wystawionych okazach znajdowały się objaśnienia piśmienne, z których zwiedzający dowiedzieć się mogli, z czyjej te przedmioty pochodzą produkcyi, z jakiej, na jaką skalę produkcyi ta jest prowadzona i po jakiej cenie się sprzedają.

Dział pierwszy obfitował w okazy bydła, szczególniejszy rasy algawskiej, przepyszne i wyborne hodowane. Pierwszeństwo zdobyli tu panowie Kierbedź, Komar, Plater, Montwill, Puzyna i hrabia Zubow. Pan Römer wystawił byki rasy krajowej poprawnej i Ayrshire, o wysokich zalcach. W dziale koni były pełne i pół krwi arabskie, mieszane angielskie; ale największy interes budziły żmujdzinki, wyborne do pociągu i roboty w polu, zwinne i kształtne. Najpiękniejsze okazy pochodziły ze stajni ks. Ogińskiego.

Dział owiec był stosunkowo ubogi i prócz okazów opasowych, nie miał innych. Trzodę chłewną najświetniej przedstawił p. Michał Podbereski. Pszczelnictwo również było ubogie i kłoby z okazów wystawowych, a bardziej z ich liczby wnosili, przyszedłby niezawodnie do przekonania, że ono w prowincji naszej wcale nie istnieje.

Dział nasion zbożowych i w ogóle zboża wypadł dosyć ubogi... rok niepomyślny i nieurodzajny odbił się na wystawie, przyniósłszy jej ziarno średnie, z pośród którego o wybór było bardzo trudno.

W dziale gospodarstwa kowieńskiego panowało także ubóstwo i widoczne zaniedbanie. Sier wystawiono najliczniej; sławne wędliny tylko w dobach miniaturowych. O miodach, konserwach i konfiturach kowieńskich jakby zapomniano. Były zato dywany, korty, rypsy, dreliżki, były koronki, ale, niestety, więcej produkcyi fabrycznej, niż domowej. Korty z fabryki ks. Ogińskiego celowały nad innymi. Przedniejsze próbki tkanin z tego działu przesłano do muzeum przemysłowo-rolniczego w Warszawie.

W dziale przemysłu wystąpiły zaszczytnie firmy Lilpopa, Rau'a i Loewensteina z Warszawy, Muszyńskiego z Kowna, a między innymi i Szylinga z Poniewieża, z wybornymi młóckarniami. W dziale tym pierwszeństwo należy się wyrobowi kół z fabryki p. Michała Podbereskiego. Piwo najlepsze wystawił p. Umiastowski z Subotnik w Oszmiańskim.

Wogóle wystawa tegoroczna wypadła pomyślniej i obficiej niż poprzednie, ale jak dawniej tak i teraz odznaczała się dziwnie, że w niej przyjęli udział prawie wyłącznie właściciele więksi. Oczywiście rzecz, iż w przyszłości trzeba będzie bardzo silnie wpływać na włóścian i mieszczan, aby także stanęli do szeregu, a tym silniej, że trzy odbyte już wystawy bez ich współudziału, mogły w nich wyrodzić przekonanie, że to nie ich rzecz i nie dla nich.

Na zakończenie tego pobieżnego sprawozdania musimy nadmienić, że wkrótce Tygodnik pomieszczy szereg rysunków z wystawy szawelskiej. Godzi się nią zainteresować ogół, bo jest ona stałą i odpowiada najżywniejszym potrzebom danej prowincji, a nie wyłącznie okazów, nadsyłanych i z innych okolic.

BŁĘDNE KOŁA,

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH.

PRZEZ

WALERYA MARRÉNÉ (MORZKOWSKA).

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.)

Posiedziawszy trochę, wychodził na miasto, jeśli czas był potemu, ale najczęściej nie siedział daleko. Stał stawał mu w myśli. Zastanawiał się nad tem, czy on teraz śpi, czy się budzi, czy śmie, lub też przewraca się po kołysce, energicznie kopiąc nóżkami, a te nóżki tłuste, okragłe, z różowemi podszewkami, z dołeczkami nad każdym paluszkiem, przewiązane, niby niteczką, tłustym faldkiem nad kostką i pod kolanek — stawały mu przed oczyma takie śliczne, takie pojętne, że czémprędzej wracał do domu, ażeby je ucałować.

Potem, chociaż niby wybierał się do siebie, zostawał jednak zawsze na herbacie u Rózi, bo nikt mu tak jęć do smaku przyrządzać nie umiał, a po herbacie grał w pikietę z panią Marcellą. Było to pole do nieskończonych sprzeczek, ponawiających się codziennie, a niezostawiających nigdy przykrego po sobie wspomnienia.

Dnia tego jednak ani ojciec Rózi, ani matka Bohdana nie mieli ochoty rozpocząć swojej party. Była już blisko godzina dziesiąta, a Bohdan nie przyszedł na herbatę. Sklep był już dawno zamknięty, nie nadszedł żaden świeży transport towarów, słowem nie takiego, coby usprawiedliwiała tę długą nieobecność.

— Co to się znaczy, że niema go dotąd? — spytała pani Marcella starego kancelisty.

— Pewno ma jakieś zajęcie, a może gdzie poszedł.

— O nie! on nie odcodził nigdy, nie powiedział nam tego; byłby przyszedł choć na chwilę, ucałować Stasia.

— Prawda — wyrzekł pan Saturnin, przekonany zupełnie tym ostatnim argumentem.

— Samowar wystygł już trzy razy. Cóż on tam robi? Sklep dawno przecie zamknięty.

— Pójdę po niego.

I powiedziawszy to, pan Saturnin bocznemi schodami, znanymi sobie dobrze, zeszedł nadół.

Sklep rzeczywiście zamknięty był od ulicy, subjekei porozodzili się już; tylko jeden posługujący chłopak drzemał przy tylnych drzwiach.

W sklepie paliła się jedna tylko lampa nad komtuarem, a przy niej siedział Bohdan, pochylony nad wielką księgą, kręśląc i sumując jakieś cyfry. Był tak zajęty czynnością swoją, iż nie

usłyszał otwierających się drzwi i zbliżających kroków.

Pan Saturnin wszedł, spojrzał na niego i zatrzymał się, trochę zaniepokojony. Twarz Bohdana nosiła ślad troski, czoło było sfaldowane, a brwi zsunięte nadawały mu wyraz natężenia myśli. Czas jakiś wzrok miał utkwiony w papierze i książki rozłożone przed sobą; potem podniósł go nagle, jakby szukając rozwiązania trudnego problemu, i wówczas ujrzał tescia, który od chwili stał przy nim, przy patrząc mu się uważnie.

Widok ten zdziwił go, a nawet zmieszał nieco. Nie mówił nic, tylko patrzył na pana Saturnina, jakby pytając o powód przyjścia.

— Kobiety przysłały mnie tutaj — odezwał się w sposób usprawiedliwiający — proszą cię na herbatę.

— Nie przyjdę, jestem zajęty, bardzo zajęty. Niech nie czekają na mnie.

Była pewna szorstkość w jego głosie, nieczuła w nim dawniej, i to uderzyło od razu pana Saturnina.

— Czy nie mogę ci pomóc? — spytał po chwili.

— Nie — to jest... dziękuję ojcu. Zadługo byłoby to wszystko tłumaczyć; mam rozmaite korespondencje i rachunki.

Szorstkość mieniła się prawie w niecierpliwość. Pan Saturnin, najdyskretniejszy z ludzi, rozumiał to i nie nalegał więcej. Szedł jednak nagórę po wolnym krokiem. Nierad był z tego, co zobaczył, i nie wiedział jak uspokoić kobiety, które nie lubią zmiany zwyczajów domowych.

Gdy powrócił do jadalnego pokoju, była tam już i Rózia. Uśpiwszy Stasia, zajęła zwykle miejsce przy samowarze, żarzącym się świeżymi węglami.

— No i cóż? — zawołała razem z panią Marcellą.

— A no nie, nie — odparł zafrasowany kancelista.

— Nie idzie Bohdan?

— Nie, zajęty bardzo; prosi żebyście na niego nie czekali.

— Mój Boże! — westchnęła żałośnie Rózia. — Dzisiaj właśnie Staś skończył półtora roku. On zapomniał o tem, a chciałam przypomnieć mu tę uroczystość przy herbacie. Nie pocałował go nawet przez dzień cały, nie widział go. Staś spał, gdy przyszedł na obiad.

— Trudno, ma zajęcie. Interesa przedewszystkiem — wtrącił pan Saturnin.

Rózia wiedziała o tem, a jednak pozostała smutna. Ta godzina zwykle była najprzyjemniejszą dla niej z dnia całego. Na obiad przychodzili subjekei i Bohdan śpieszył się zwykle; ale wieczorem należał do rodziny, jedynie do rodziny, wieczorem bawił się z synem, żartował, śmiał się, zapominał o pracy dnia minionego i o tej, która czekała go znów jutro.

— I herbaty pić nie będzie? — zapytała, patrząc na ojca.

— Mówił że nie będzie.

— To ja mu zanoszę.

Wstała i chciała nalać filiżankę; ale pan Saturnin ją powstrzymał.

— Daj pokój — wyrzekł — jest zajęty. Nie trzeba mu przeszkadzać.

Rózia z niepokojem spojrzała na ojca, a pani Marcella gotową była załamywać ręce.

— Cóż to się stało? — szepnęła.

Stary kancelista wzruszył niecierpliwie ramionami. Sam zaniepokojony, gniewał się na niepokój kobiet.

— Cóż się stać miało? — odparł opryskliwie. — Ot rachuje, nie więcej, rachuje. Handel stoi rachunkiem; arytmetyka, to grunt.

Zapewnienie to nie ze wszystkiemi zadowolili kobiety, musiały jednak na niem poprzestać.

Pan Saturnin zaproponował wyklą partę pikietę, ale matka Bohdana nie miała do niej ochoty i on sam proponował ją tylko dla zwyczajności.

Siedzieli jeszcze czas jakiś, nie doczekawszy się jednak Bohdana. Rózia zostawiła drzwi otwarte do jadalnego pokoju i słyszała, jak późno bardzo przechodził do siebie.

Usłyszawszy to, dopiero zasnęła.

Bohdan jednak oka zmużyć nie mógł. Stawały przed nim wszystkie następstwa tak nierozważnie uczynionego kroku: wymawiał sobie to co uczynił, wymawiał w imieniu rodziny, a więcej jeszcze w imieniu współnika swego. Było to nadużycie jego zaufania, prawie nienuceiwość. Przełknął chwilą, w której przyszła mu myśl wmięszania się do interesów Gustawa. Wszystko to jednak było daremnem: teraz trzeba było radzić i zapobiegać. Groźna wypłata wisiała nad jego głową. Mógł wprawdzie łatwo znaleźć lichwiarski kredyt; ale coż ztąd? Kredyt podobny nietylko był pierwszym krokiem do ruiny, ale moralnie podkopywał znaczenie kupca, który był zmuszony uciekać się do niego, znaczył niejako zachwianie się firmy.

Nigdy dotąd nie był w podobnym położeniu. Oszczędność, akuratosć, ruch towarów w sklepie znanym z uczciwości, postawiły dobrze interesa jego; a teraz usilna praca lat kilku miała pójść na marne, z powodu jednej nieopatrznej chwili.

W każdej inną chwilę owe tysiące rubli dostaliby zapewne na uczciwych warunkach; ale teraz były czasy wojenne, kapitały znikły, kredyt wszelki był zachwany...

Pomyślał o Stanisławie, lecz zaraz zaniechał tej myśli. Stanisław przy gospodarstwie więcej jeszcze od niego może potrzebował pieniędzy. Pragnął nawet usilnie wycofać swój kapitał z handlu, który nie dawał mu owych bajecznych korzyści, o jakich marzył.

Skarby wujaszka zaczęły się przebieierać w rękę nieopatrznej spadkobiercy i wmiarę tego, zmieniła się jego charakter. Stawał się trudny, nieufny, przykry nawet. Za nie w świecie nie mógł udać się do Stanisława.

Nazajutrz Bohdan wstał rano, zmordowany bezsennością. Na kilkakrotne traskliwe pytania Rózi odpowiadał, zapewniając ją, że nie jest chory, że nie stało się nic nadzwyczajnego, i zeszedł czempredzied do sklepu. Piękna, ufa twarz żony, cichy sen dziecka w kolébce, uśmiechnięta powaga matki—wszystko to zdawało mu się wywrztem wobec nich, wobec własnego sumienia. Szlachetny uczynek w tym razie był zbrodnią prawie. A jednak uczynek ten leżał w jego naturze, i kto wie czy po raz drugi, postawiony w podobnych okolicznościach, nie zrobiłby tego powtórnie....

Sklep Szczerby znajdował się w najbardziej uczęszczanej części miasta, mógł zatem łatwo śledzić z niego cały ruch uliczny. Gustaw przechodził parę razy koło niego, ale nie wstąpił, nie zatrzymał się nawet; biegł gdzieś, zajęty widać bardzo.

Dzień kwietniowy był piękny i ciepły. Kolo godziny dwunastej przechodziła panna Eugenia. Szła zwolna, rozglądając się spokojnym wzrokiem wokół, jak gdyby szukała kogoś. Spotkała się z baronem, który złożył jej ułkon, rzucając razem zachwycone spojrzenie. Odklonila mu się z bardzo wdzięcznym uśmiechem i szła dalej, mijając grupy znajomych osób. Uśmiech jej był tego rodzaju, że utkwil w sercu barona, który długo stał, patrząc za nią, aż wreszcie przyszło mu na myśl, iż wypadakonieczniednia tego przypomnieć pannie Eugenii i jej ciocielaskawie uczynioną obietnicę odwiedzenia rajnickiego pałacu.

Im dłużej patrzył na nią, gdy oddalała się powolnym, gibkim krokiem, tem więcej utwierdzał się w tej myśli.

Panna Eugenia tymczasem, przechadzając się zapewne bez wyraźnego celu po ulicach Lublina, spotkała Gustawa. Powitała go dość ceremonialnie, jak na blizkiego krewnego, podając mu kołnierz palców, obciśniętych rękawiczką. Gustaw zawrócił się i szedł przy niej.

— Dobrze iż cię spotykam — szepnął, nachylając się ku niej. — Pragnęłam widzieć cię koniecznie.

Był namiętny odcień w tych słowach, którego nie zauważyła zapewne, bo odparła tylko zniżonym głosem:

— Czy potrzebujesz czego odemnie?

— Och! Eugenio — zawołał — dlaćgóż prosiłaś Szczerby, żeby zapłacił ten weksel?

Panna stanęła, jak wryta.

— Wieg uczynilaś że? — spytała krótko. — Dlaćgóż?

— Bo cofniono mi część kredytu i pieniędzy tych zwrócić mu nie mogę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Bohotnica.

Do czarującej tej powabami natury miejscowości, niewiele wiąże się pewnych wspomnień historycznych, a początek jej i dzieje giną w pomroce podań. Enekyklopedya powszechna (wielka) tyle tylko o niej podaje:

„Bohotnica leży o pół mili od Kaźmirza, w gubernii lubelskiej, przy drodze do Nowej Aleksandryi (Paław) prowadzącej. Na górze, lasami porosłej, dają się widzieć zwałiska starożytnego zamku, który, jak podanie niesie, założony w XIV wieku słynny z rozbojów Maciej Borkowicz, wojewoda poznański, i w którym oddana mu pod dozor, miała przebywać Żydówka Esterka, ulubiona Kaźmirza Wielkiego, podczas gdy król ten mieszkał w Kaźmirzu.

„Osoblizszy ten zameczek, w półokrąg zbudowany, z zachodnią tylko ścianą płaską, w której brama wjazdowa była wybita, oprócz zewnętrznych murów, bardzo już uszkodzonych, i śladu piwnic, nie więcej nie dochował.... Obok bramy widać że była wieża, ściana bowiem w tem miejscu znacznie wzniesiona jest w górę. Ścianę tej wieży podpięrały dwie skarpy, z których jedna w całości, drugą dolną część tylko pozostała. Obok bramy są ślady jakichś ozdób, z kamienia wykutych; podług zaś podania miejscowego, prowadził do niej most, nad szerokim parowem rzucony.

„Zamek ten stawiany był głównie z kamienia; zewnętrzna tylko powłoka muru jest z cegły czerwonej. Położenie jego dosyć wyniosłe, lecz z powodu moenego drzewami zarosnięcia trudno ocenić, czy był on kiedy obronnym...”

Do skąpych tych w fakta wiadomości, „Starożytna Polska” Balińskiego i Lipińskiego, opierając się na Metryce koronnej, dorzuca tylko: „Zygmunt I. przywilejem swoim, danym w Krakowie na sejmie r. 1523, przelał swoje prawa do Bohotnicy na Jana, Pawła i Stanisława Samborzeckich.”

Kronika tygodniowa.

NA STYPENDIUM WIECZYSTE PRYWATNE IM. J. I. KRASZENSKIEGO złożyli: Michałina Pawłowska w Dunajewieku rs. 1; Jacek Hołubicki w Kursku rs. 1; Józef Sławiński w Charkowie rs. 5; Polacy w Morszańsku (gub. tambowska) za pośrednictwem redakcyi Przeglądu tygodniowego rs. 50; B. rs. 1; Str. kop. 50; Dr. rs. 1 kop. 50; od 91 mieszkańców powiatu radzyńskiego **rubli pięćset pięć** (nazwiska ich wydrukujemy w następnym numerze); Bohdan Wereszczyński rs. 1 kop. 50; Jan Januskiewicz w Horodnie rs. 10; Z. Darowski w Tetyjowie rs. 15; oficyaliści fabryki cukru w Jarkowcach (gub. podolska) rs. 10 kop. 50; Ludwik Czernikowski w Orszy rs. 6; obywateli z okolic Konina rs. 95.

Razem ze złożonemi poprzednio rs. 3,750 listami zastawnemi i rs. 747 kop. 50 gotowizną.

Z gotowizny powyższej kapiliśmy w dalszym ciągu listy zastawne Towarzystwa kredytowego miejskiego w Warszawie, wartości nominalnej rs. 750, za rs. 724 kop. 15. Ogólny więc fundusz stypendyalny wynosi obecnie rs. 4,500 listami zastawnemi i rs. 23 kop. 35 gotowizną.

— Cmentarz powązkowski tak już jest zaludniony przez nieboszyków, że wkrótce trzeba go będzie zamknąć, bo jego cząstkowe rozsz-

zanie jest tylko środkiem zaradczym chwilowo, a powiększenie odpowiednio na czas dłuższy, jest niemożliwe, z powodów jakie przedstawia położenie gruntu, a nawet i z przyczyn niechęci sąsiednich jego posiadaczy. Pan prezydent miasta zawiadamia o tem mieszkańców w osobnej odezwie, wykazując potrzebę urządzenia cmentarza w innej okolicy miasta, przyczem daje posiadaczom gruntów wskazówki, któremi magistrat w kupnie ziemi na nowy cmentarz kierować się musi. Trzy mianowicie warunki są przy urządzeniu cmentarza niezbędne: 1) aby grunt, na którym się cmentarz zakłada, był suchy i o ile można nad poziom gruntów sąsiednich wzniesiony; 2) aby znajdował się w dostatecznej odległości od domów mieszkalnych, i 3) aby komunikacja z cmentarzem była dogodną.

Oświadcza przytęm odezwa, że dla rozmaitych przyczyn, ulokowanie przyszłego cmentarza mogłoby wypaść jelynie za rogatkami Wolskimi, prawie o milę od tych rogatk, że jednak dla samej odległości byłoby to wielce niedogodne. Rzuca także pan prezydent myśl, że, idąc za przykładem wielu miast zagranicznych, możnaby urządzić cmentarz w miejscowości, połączonej z miastem koleją żelazną. Jest to jednak tylko projekt, bo w całej sprawie decydującego postanowienia niema; ale odezwa pana prezydenta ma właśnie na celu wywołanie wszelkich dyskusji nad przedmiotem tak ważnym i tak żywo ogół mieszkańców Warszawy obchodzącym. Dyskusji ożywionej spodziewać się należy, a wszyscy tu mają głos, co chcą i mogą coś godnego uwagi powiedzieć, albowiem każdy z nas będzie miał kiedyś udział w tej sprawie... oświadcza i z konieczności.

I tu można przypomnieć stare ale jare przysłowie: jak sobie kto pościele, tak się wyspi.

— W zeszłym tygodniu, od wtorku, rozpoczęły się w Muzeum przemysłowo-rolniczym przerwane przed wakacyami odczyty p. p. Milicera i Boguskiego, z chemii i fizyki. Przypominamy o tem wszystkim, którzy pragnęliby korzystać z wykładów dzielnych prelegentów, a młodzież rzemieślnicza gorąco do korzystania z nich zachęcamy.

Dotąd odczyty, o których mowa, nie mają takiej liczby słuchaczy, na jaką istotnie zasługują. Czy z chemii i fizyki niczego się już nie możemy nauczyć?... W ogóle prelekcye, wygłaszane w Muzeum, szczególniejszemu powodzeniem się nie cieszą, co zresztą nas nie dziwi. Przeznaczone są one przeważnie dla młodzieży rzemieślniczej i przemysłowej, a ta dotąd nie przywykła do poważnego słowa nauki. Niechże jej zwierzchnicy wskazują potrzebę wiedzy i światła.

— Dziwnie się u nas niekiedy pojmują obowiązki honorowe, to jest takie, które się na siebie przyjmuje dobrowolnie, zyskując za to tytuł „poświęcającego się dla dobra społeczeństwa.”

Są na przykład kwestarki, zbierające fundusz na budowę kościoła Wszystkich Świętych, które dotąd nie zebrały ani złamanego szeląga, dlatego jedynie, że nie zbierały. Są i takie (to już przynajmniej zdradza jakiś niepokój sumienia), które w przyjętym na się obowiązku wyręczają się przez znajomych, podwładnych lub... służbę.

Ma się rozumieć, dzieje się to wszystko z wielką szkodą funduszu, którego zbieranie z dniem 1-m przyszłego miesiąca ma się ukonczyć, a wątpliwa rzecz, czy „laskawe” panie kwestarki zdążą wynagrodzić szkodę najruchliwszą nawet za biegłością, gdy na to czasu zabraknie.

Ale czy to... uczciwie?

— Pisma wiedeńskie donoszą, że znany tamtejszy i popularny pisarz, Langner, przypomniał dawniej powzięty projekt wystawienia pomnika dla Jana III, jako oswołobiciela Wiednia. Za lat cztery, bo w r. 1883, przypada dwuchsetletnia rocznica tryumfu w potrzebie wiedeńskiej, i wtedy to, jak twierdzi słusznie Langner, właściwie byłoby pomnik dla zwycięzcy wystawić. Według projektu, stanąłby on przy ulicy Franzensring, przed nowym ratuszem. Ma to być